



Aleksander S. Grin

NISZCZYCIEL

Spis treści

- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)

NISZCZYCIEL

Grin Aleksander S.

I

Gdy flota nieprzyjacielska zatopiła sto osiemdziesiąt cywilnych żaglowców, a także czternaście pasażerskich parowców ze wszystkimi płynącymi na nich pasażerami, wraz z kobietami, starcami i dziećmi, kiedy następnie po tym wszystkim nieustannym wysiłkiem ciężkich salw zburzyła kilka nadmorskich miast -- część kwitnącego wybrzeża stała się martwa; jego puls zamarł, a dym i pył, jak blade widma, unosiły się tam, gdzie przedtem były godziny życia w pokoju.

Nie ma nic banalniejszego od przerażenia, a jednak niema również nic bardziej gwałtownego, wpływającego na świadomość na podobieństwo silnej trucizny. Dlatego też w nadbrzeżnych miastach i osadach pojawiło się mnóstwo obłąkanych. Zdradzały ich oczy i niepewne, nieskoordynowane ruchy. Nigdy nie płakali — szaleństwo wyzbyte jest łez — ale wypowiadali ciemne, melancholijne zdania, po których słuchającym mocniej biło serce. Tymczasem flota nieprzyjacielska zakotwiczyła się w dalekim archipelagu, gdzie, jak w raju, słońce mieszało się z różowym odblaskiem błękitnej wody — wśród tkliwych palm, paproci i dziwnych kwiatów; płomienne kaskady promieni padały w głąb podwodnych grot, na potworne iglaste ryby, przemykające pośród koralu. Z ogromnych kominów na nieruchomych stalowych kolosach płynął gęsty dym. Ciężki, lecz interesujący to widok! Moc i kanciastość, złowieszcza stanowczość zarysów, połączenie kolosalnej mechaniczności z żywiołem oceanu, owianym tumanem legend i poezji — bajeczna ponurość kształtów, wymyślnych i twardych — wszystko to wywołuje wyobrażenie o życiu innej planety, pełnej niebywałych konstrukcji!

Pewnego cudownego poranka, wśród oślepiającego jarzenia się tęczowej mgły, w upojeniu błyskającej błękitnej wody, wzburzając pianę, w stronę krążownika „Anioł burz” pomknęła tajemnicza torpeda. Cios uderzył w część rufową. „Anioł burz” otoczył się pianą wybuchu i poszedł na dno. We flocie zapanował zamęt, drżenie i trwoga ogarnęły załogę, przedsięwzięto środki ostrożności. Statki patrolowe i torpedowce otrzymały rozkazy i zaczęły krążyć po archipelagu, a w dalekim kraju setki młodych kobiet włożyły żałobę, i sny wielu przestroniło

ponure skrzydło strachu. Tymczasem najsubtelniejsze fortele nie pomogły wykryć winowajców katastrofy i wydawało się to czymś zdumiewającym, gdyż na tych dzikich wodach nie było innych statków prócz floty, która zrujnowała kwitnące brzegi.

— Niech pan tylko spojrzysz — powiedział w tydzień później dowódca olbrzymiego pancernika „Dysk” do starszego porucznika — niech pan spojrzysz na te działa; przypominają obalone pnie w lasach kalifornijskich. Ze wszystkich luf wylatują skondensowane powietrzne pociągi, które w tych obłych kształtach zawarły wichry i trzęsienia ziemi.

Zamilkł i rozkazującym wzrokiem spojrzął na wieczorne niebo. W tej samej chwili „Dysk” drgnął, wściekły huk stoczył się z jego żelaznych spoiw we wstrząśniętą ciemność i pancernik otrzymał śmiertelną ranę.

W następnych tygodniach zatopione zostały torpedowiec „Raum”, krążowniki „Flash”, „Robert-Diabeł” i dwie łodzie podwodne. Nie sposób było przewidzieć czy odeprzeć katastrofalnych ciosów. Zdawać się mogło, że zadawał je ocean. Zdawało się, że w jego głębokich otchłaniach rodziły się, jako odbicia pełnej spięć rzeczywistości, gromonośne siły, które w nadnaturalny sposób przybierały realną postać. Przystwór morski stał się czymś niosącym grozę, niebo świadkiem, okręty — ofiarami. Wśród marynarzy zapanowała ponura rozpacz. A wówczas, pragnąc raz na zawsze skończyć z okropnym niewidzialnym wrogiem, admirał w tajemnicy rozkazał uzbroić dwa żaglowe szkunery, ażeby krążąc po archipelagu, bronione swoim rzekomo niewinnym przeznaczeniem, starały się odnaleźć nieprzyjaciela. Mógł on, pomimo całej swej ostrożności, zaniechać jej na widok żaglowych łysin, czego oczywiście nie uczyniłby mając przed sobą łódź zwiadowczą. Jeden ze szkunerów nazywał się „Jeleń”, drugi „Szperacz”. Kapitanem „Jelenia” był Hiram, człowiek dziwny i milkliwy; „Szperaczem,” dowodził Loudrey, wesoły pijanica apoplektycznej budowy. Wyruszając na zwiady, statki popłynęły w dwóch różnych kierunkach: „Szperacz” ruszył w stronę lądu, a „Jeleń” — na południe, w pustynne łono wód, gdzie z rzadka jedynie można było spotkać skalistą rafę. Nazajutrz o świcie była gęsta, biała mgła. W stronę „Szperacza” pomknęła bezgłośna torpeda, rozdarła go i zatopiła, a „Jeleń”, zaskoczony przez tę samą mgłę, znajdował się tego ranka niedaleko archipelagu. Żagle zatrzepotały i opadły. Wiatr ścichł. Hiram wyszedł na pokład. W matowo białej oćmie, przesyconej duszną wilgocią, panowało zupełne milczenie. Ludzie oddychali ciężko i trwożnie, na baku marynarz czyścił gwoździem fajkę i skrzywienie żelaza o drzewo wydawało się tak oczywiście bliskie, jak gdyby dźwięki te rozlegały się w kieszonce kamizelki.

Hiram przez pewien czas patrzył przed siebie, jak gdyby mógł spojrzeniem rozpędzić mgłę. A potem, nie zdoławszy niczego dostrzec, siadł na składanym krześle w półhipnotycznym odrętwieniu, które nagle na niego naszło. Kapitan nie drzemał, „nie spał, umysł jego był żywy i jasny, ale czuł, że jeśli zechce wstać czy przemówić choć słowo, nie zdoła tego dokonać. Jednakże nie był zaniepokojony. Zdarzało mu się dość często przekraczać granicę uczuć właściwych naszej naturze, co zaczynało się właśnie od podobnego odrętwienia, a wówczas wszystko poza nim czy też wewnątrz niego nabierało odrębnego, właściwego sensu, pokrewnego głębokiemu rozjarzeniu. Wkrótce usłyszał szum wody rozcinanej przez niewidzialny statek. Można było przypuszczać, sądząc po stukocie śruby, że przechodzi tuż w pobliżu „Jelenia”. Na statku rozmawiało dwóch mężczyzn; niegłośno, ale tak wyraźnie, że wszystkie ich słowa, o smutnym i uroczystym brzmieniu, słyszeć było jak w pokoju:

- Co się z nami dzieje?
- Nie wiem.
- Jesteśmy jak we śnie.
- Tak, to nie może być rzeczywistością.
- Gdzie reszta?
- Wszyscy na tamtym świecie.
- Dokoła morze i nie ujdziemy stąd.
- Chyba tak, jest mgła.
- Czuję wilgoć i ciężar w piersi.
- O, jak mnie to boli, jakie to gorzkie, bez wyjścia!
- W ciemności zrodzeni, w ciemności umieramy! Szum oddalił się, głosy umilkły.

Hiram drgnął, Stojący za nim dyżurny oficer półgłosem wypowiadał swoje uwagi o nieznanym statku. Sądził, że jest to coś bardzo podejrzanego.

— Czy słyszał pan rozmowę, Tirren? — zapytał kapitan.

— Słyszałem rzeczywiście jakieś niewyraźne mamrotanie, ale nie podejmuję się określić, czy była to rozmowa, czy przekleństwa.

— Nie. To była rozmowa i to nader dziwna, żeby nie powiedzieć więcej.

— A mianowicie?

— Przyznam, że nie mógłbym powtórzyć jej treści. Ale mgła rzednie.

Istotnie, mgła rzedła. Przez biały opar przeświecała senna woda, a na powierzchni zaznaczył się mętny błękitny odcień. Wkrótce mgła, rozsiekana złotą ulewą, rozpadła się na stada białych cieni, w apoteozie jaśniejących obłoków odsłoniło się słońce oceanu. Zwisie żagle, pochwyciwszy wiatr, jak skrzydła pociągnęły naprzód i „Jeleń” ruszył na poszukiwanie niszczyciela. Aczkolwiek Hiram przepatrywał uważnie horyzont — nigdzie nie było widać nawet śladu statku, który niedawno przemknął.



Minął tydzień. „Jeleń” po bezskutecznych poszukiwaniach wrócił do swojej floty, która przez ten czas Poniosła jeszcze dwie znaczne straty. Ponieważ trudno było oczekiwać, by niewidzialny wróg przerwał działania wojenne, admirał dał rozkaz wyjścia w morze. Flota ruszyła ku brzegom Nowej Zelandii.

Kiedy odpłynęła, kiedy minęła jej odurzająca obecność, znikły zapachy paliwa i metaliczne odgłosy, archipelag przywrócił swoim lagunom i wyspom ich poprzedni wygląd — wspaniałość namiętneho tworzenia, i znowu mnie, świadkowi tych wydarzeń, zaczęło wydawać się, że ku tym oazom w malowniczym jaśnieniu subtelnie zabarwionych promieni lecą rajskie ptaki o pomarańczowych i granatowych piórach.

Burzliwą nocą, gdy szatan ciemności, oszalawszy, wznosił udręczone fale całując je z pianą na ustach, za burtę pocztowego parostatku wypadł marynarz Castro. Umiał dobrze pływać, ale wreszcie opadłszy z sił stracił przytomność i ocknął się na pustynnych głazach niewielkiej zatoczki, gdzie wyrzuciła ginącego przypadkowa fala. Castro był złamany przerażeniem i zmęczeniem. Jednakże zakątek oceanu, gdzie znalazł schronienie, był tak piękny, że nieszczęśnika natychmiast ogarnął nastrój jasnej rześkości. Ciasny krąg błyszczących skalnych zrębów odbijał się w dymnym błękicie morza, a zatoka w głębi, pełna obłoków, tchnęła wspomnieniami bajki. Rozejrzawszy się, Castro zauważył w pobliżu grzbiet łodzi podwodnej drzemiącej w cieniu kamiennego nawisu. Zaskoczony taką niespodzianką marynarz długo przyglądał się niebezpiecznemu statkowi, aż na jego platformę wyszli dwaj ludzie; jeden z nich był zapewne ślepy, gdyż poruszał się niezręcznie, po omacku i miał zamknięte oczy; twarz jego, przesłonięta od wewnątrz ocmą, była pospolita i smutna. Drugi, niewątpliwie marynarz, brodacz o stanowczym wyglądzie, rozmawiał z pierwszym pochylając się do jego ucha, i Castro, choć nasłuchiwał, nie dosłyszał niczego. Po chwili obaj znikli w głębi łodzi, w kilka minut później łódź przysunęła się do skały i tenże marynarz wyszedł sam na mostek z sakwą na ramieniu i z kijem w ręku. Zeskoczył na kamienie i krocząc szybko wkrótce ujrzął Castra.

— Zatrzymaj się, przyjacielu — odezwał się marynarz — i jeśli nasza przechadzka nie przedłuży się, to udziel mi nieco ze swoich zapasów.

— Kim jesteś, człowieku? — podejrzliwie zapytał nieznajomy.

— Jestem człowiekiem, który umie dobrze pływać. Tej nocy zmyło mnie za burtę, ale jestem bardzo zły, zezłościłem się i ocalałem.

— Chodźmy — rzekł marynarz po chwili milczenia. — Wybrałem się na długą przechadzkę, ale sucharów nam starczy.

I milcząc, ostrożnie przyglądając się sobie wzajem, wyszli z kamiennego chaosu nadbrzeża na spokojną pustynię.

— Przyjacielu — odezwał się Castro nie wytrzymawszy. — Jestem z natury ciekawy, ale jeśli nie widzisz we mnie wroga, to opowiedz, jak w ten głuchy zakątek trafiła łódź podwodna? Idziemy razem. Jem twoje suchary, czeka nas, jak się zdaje, daleka droga, bo nigdzie tu nie ma śladu jakiegokolwiek osady, i dlatego ośmielam się prosić, abyś odstąpił choć rąbek tych niezwykłości.

Nieznajomy nic nie odpowiedział, uśmiechnął się i zaczął mówić o czymś innym, a Castro jeszcze ze trzy razy w ciągu dnia usiłował naprowadzić rozmowę na ten sam temat; dopiero gdy zatrzymali się na noc przy ognisku pod przydrożną skałą, marynarz wyjawiał tajemnicę łodzi podwodnej:

— Płynęliśmy z Europy z eskadrą torpedowców i — długo trzeba by opowiadać, jak to się stało — po trzech dobach sztormowej pogody straciliśmy z oczu swoją eskadrę, krążąc w pobliżu tego wybrzeża.

Wreszcie fale ucichły, stanęliśmy niedaleko starego klasztoru, który nurzał swoje białe mury w zieleni i aromacie kwitnących pomarańczowych gajów. Mieszkali tam ślepcy, trzynastu ludzi, którzy pochowali blask dnia i diamentowe światła nocy w ponurej ciemności swego tragicznego urodzenia. Wkrótce, ponieważ zabrakło nam słodkiej wody, wziąłem z sobą część załogi i ruszyłem do klasztoru.

Marynarze pod kierunkiem zakonników zajmowali się swoją robotą, a ja siedziałem w ogrodzie; owiany ciepłym wiatrem, znużony, nie mogłem oprzeć się, gdy zaczęły mi się przymykać oczy i wkrótce zasnąłem, a kiedy się zbudziłem, była noc. Wszedł księżyc, który pośród czarnych cieni rozpostarł biały świat. Zerwałem się i niespokojnie zacząłem wzywać załogę. A wtedy ogród wypełniły westchnienia i szelesty i trzynastu ślepych mężczyzn otoczyło mnie z wolna, wpatrując się we mnie ślepych oczami.

— Oto nasz komendant — oczekiwał nas i myśmy przyszli.

— Znamy go — mówili inni — ale on nas jeszcze nie poznaje. Kapitanie Train, niech pan prowadzi swoją załogę!

Byłem pełen lęku, ale nie mogłem sprzeciwić się niczemu, co działo się tej nocy, tak jak nie mógłbym się sprzeciwić wybuchowi wulkanu. Zapytałem:

— Gdzie są moi ludzie?

— Spójrz — powiedzieli wskazując na łączkę jaśniejącą księżycowym spokojem — są teraz w domu i będą pośród swoich rodzin aż do czasu, gdy powrócimy. Ujrzałem wszystkich, którzy przyszli ze mną, a także tych, co pozostali na „Etnie”. Jak tutaj trafili? Wszyscy spali w trawie z uśmiechem słodkiego wytchnienia. Coś silniejszego ode mnie wypełniło mi duszę drżeniem i smutną ciszą. Ruszyłem ku morzu w otoczeniu ślepych, wszedłem z nimi do łodzi podwodnej i tam, przyjacielu Castro, ujrzałem, że ślepi wszystko widzą.

Tak, podejrzewam, że moje sny, moje wyraziste zwidzenia senne w ciągu ubiegłego miesiąca — były rzeczywistością. Budziłem się koło południa, zawsze w tej samej zatoce, gdzie mnie spotkałeś, jak gdyby „Etna” nigdy jej nie opuszczała, a ze mną byli prawdziwi ślepcy błąkający się po omacku w obcym dla nich, skomplikowanym wnętrzu statku wojennego; skarżyli się głośno na dziwną przemianę swego życia, spali, dużo jedli i ustawicznie kłócili się z sobą, a ja — wyjaśnij mi to — nie mogłem uciec, jak gdyby łódź wisiła na wysokości tysiąca metrów; ale zasypiając natychmiast wraz z zachodem słońca, widziałem we śnie, że wydaję rozkazy, że cała trzynastka ślepców, z szybkością i doświadczeniem prawdziwych żeglarzy, uwija się w bojowych działaniach i że wypływając po szeregu chytrych manewrów w samym pieklisku nieznanej floty wojennej, zatapiamy okręty, zawsze wyślizgujemy się z powrotem, a potem płaczemy w bezgranicznej rozpacz.

Dziś opuściła mnie ta obca siła, podobnie jak chmury opuszczają pola; westchnąłem głęboko i odszedłem... Ślepcy znikli, pozostał jeden, najstarszy, obojętny na wszystko, co się z nim stanie. Być może na „Etnę” Wrócą wkrótce moi zbudzeni marynarze.

— Cóż to za klasztor? — zapytał Castro. — Jakież to demony w nim mieszkają?

— Nie wiem. Ale w ogóle, jak słyszałem, pojawiło się tu mnóstwo obłąkanych. Włóczą się i majaczą — wciąż majaczą o jasnych brzegach stratowanych przez błękit morza.